Tegocześni Poeci Sceniczni Francuzcy.

III. ALEXANDER DUMAS.

Dumas wystąpił po raz piérwszy roku 1829, a lubo ostatni przybył na scenę, jednakże idzie już w zapomnienie. Jemu należy się pochwała, że położył widoczny kres swoim działaniom poetycznym, że wiedział, ku czemu dążył. Mimo to nic uczynił tego wszystkiego, coby zdołał, nie ziścił wszelkich nadziei, jakie powzięto za jego piérwszém zwycięzkiém wystąpieniem. Nie pojął ducha i literackiego znaczenia swojéj sztuki; ale zato chwycił się z wielką energią nowéj dążności, reakcyi literatury dramatycznéj XVII wieku. Znalazł na swojéj drodze tradycye, ślepo poważane przez ogół; dlatego przedsięwziął one zwalić. Wyrzekł się podziwu idealnych piękności greckiego piętna w Rasynie, olbrzymich wielkości rzymskich w Kornelu; od tego czasu postanowił w swoim umyśle, świéższemi, nowszemi, naturalniejszemi piętnami zastąpić stare, uświęcone i już nazbyt podziwiane. Szkoda, że nie roztrząsał tego zadania w całéj jego obszerności; zdaje się, że dopiéro niedawno pojął, jak to jest trudném, i ile do tego potrzeba; teraz jeszcze, gdy się o tém wyraża, wielki nieład panuje w jego myślach i obrazach. Z tegoto braku rozwagi pochodzi, że zapuścił się za daleko. Prawdziwa literatura powinna być objawieniem się ducha; *Dumas* wyrzec się jéj musi. Gwałtowna burza, dziecinny pośpiech miota jego duszą; ledwo myśl zrodzi, kwapi się zaraz z wykonaniem; nie zostawia sobie czasu potrzebnego do jéj rozwinięcia i wyjaśnienia; ledwo powziął zamiar zwalczenia klassycznych tradycyj, rzuca się już na oślep w zapasy. Niepomny na jak głębokiéj podstawie stoi to, co chce obalić, nie baczy na ciężar i objętość; nie pyta, jaka jest myśl, znaczenie, wewnętrzna wartość tego pomnika czasów starożytnych. Gdyby się względem tych kwestyj

gruntowniéj radził samego siebie i swoich nauk, poznałby rychło, iż żaden geniusz, jakkolwiek śmiały, jakkolwiek dzielny, jakkolwiek występujący z nowemi utworami wyobraźni, nie może jedném tchnieniem zwalić tradycyj, ale tylko je modyfikować, opanowywać i prowadzić daléj w nowym duchu, w nowych kierunkach. Pan *Dumas* nie przestaje wróżyć odrodzenia się tragedyi: ale co on przez to rozumié, jest bardzo ograniczoném, jednostronném, pochodzącém z jego osobistéj niedoskonałości. Jakież były zamiary pana *Dumas*, gdy przed 9 laty zaczął pisać dla teatru? Mocno zajęty Szekspirem i Szyllerem, których tylko mógł cenić z ich powierzchownych przymiotów; lecz bardziéj jeszcze kilkoma nowszemi francuzkiemi dramami, które jednak tylko mogły służyć do czytania, ale nie do scenicznego przedstawienia; wpadła mu na myśl naturalność — i w téjże chwili idealność wydała się mu sprzecznością. Téjto marze nie naturalności poprzysiągł wojnę, a ciosy które wymierzył na nieprzyjaciela, spadły na samę poezyą. W ślepéj nienawiści nie rozróżniał, co w staréj tragedyi francuzkiéj było formą zwyczaju, a co istotną poetyczną pięknością. Trwał w téj dobréj wierze, może i teraz trwa w niéj jeszcze, że najwyższém zadaniem poezyi dramatycznéj jest naśladowanie natury, jéj malowanie. Tymto duchem, tą dążnością tchnie wszystko, co tylko napisał dla teatru. Gdyby pan *Dumas* zastanowił się kiedy, czy istotnie zadaniem sztuki w ogóle, jest naśladowanie natury, tedyby we względzie muzyki i rzeźbiarstwa musiał odpowiedzieć: *nie*. Malarz i rzeźbiarz wprawdzie z piérwszego wejrzenia, zdają się być przeznaczeni do oddania owego naturalnego kształtu i koloru; lecz w ręku wielkiego wykończonego artysty nigdy kształt naturalny nie bywa niewolniczo naśladowanym, ale tylko ukazuje się podporą myśli i przez tę myśl ożywionym. W kwitnących czasach sztuki nigdy nie mogło istnieć dzieło malarza, rzeźbiarza bez tego ożywienia, bez téj idealnéj wartości. Jeśli więc marmur i głos nie potrzebują wiernie kopiować

kolorytu przedmiotów zmysłowych; jeśli ta część, ta linia więcéj zostaje wydaną, tam znowu inną się wykréśla, aby wykształcona materya nosiła równy wyraz myśli: tedy zdaje mi się, że i ludzkie wyrazy gdy są użyte do sztucznego utworu poezyi, nie powinny być pozbawione idealności. Jeźli kamień i płótno gardzą ścisłém naśladownictwem, tym bardziéj ludzkie wyrazy nie mogą się przez tak niewolniczą uległość wznieść do szczytności poetycznéj.

Przypuśćmy téż: że sztuka powinna i musi jedynie naśladować naturę, że poeta nie potrzebuje swojego pomysłu przywdziéwać w obraz naturalnéj rzeczywistości, — wówczas nawet pan *Dumas* nie okazałby się godnym zawodu poety. To, co on naśladuje, to, co zamyśla przedstawiać, nie jest prawdziwą, zupełną naturą człowieka, ale najniższym, najnędzniejszym żywiołem téj natury. Zamiast pokazania nam człowieka, jakim jest z duszą i ciałem, pokazuje nam tylko stworzenie fizyczne z jego popędami. Śledzić chce namiętność w jéj zarodzie, jak ona powstaje i wzrasta. Jeszcze daleko, nim tam zajdzie; to co on mniema zbadać, nie są uczucia, ale chucie. To co nam przedstawia na scenie jako miłość, jest tylko skłonnością płci; miłość jako uczucie obyczajowe, jako namiętność, jest mu zupełnie obcą. W dramatach jego nie występują osoby i charaktery, ale tylko istoty z oznakami płci. Może tylko wyobrazić krew wrzącą, ale nie ów żar natchnienia, namiętności, rozkoszy. Zostawmy więc mu zadanie podniesienia rzeczywistości do ideału; i cieszyć się będziemy, gdy piérwéj potrafi pojąć co to jest *rzeczywistość.*

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

KARNAWAŁ MARSYLSKI
(*z Leona Gozlan.*)

Karnawał, sam nie wiém którego już roku, — lecz pewny jestem że moi czytelnicy podobnie jak ja,

mniéj dbać będą o datę, dosyć że bardzo już temu dawno, — karnawał kończył się w Marsylii przy odgłosie skrzypców i basetli. Ostatni wtorek miał wkrótce wybić: uroczysta chwila w któréj każdy co przez cały tydzień tłukł w sobie kości, mniema że punkt honoru zależy na podwojeniu zapału, i stoiczném wytrwaniu trudów ostatecznéj nocy, najpiękniejszéj, najbardziéj świetnéj i szalonéj; nocy, w któréj ów, co przez pobożność, skąpstwo lub obowiązek, oparł się ogólnemu upojeniu, skaczącemu przed nim, pod jego oknami, nad jego głową, wybiega na wpół nagi jak Archimedes, przywdziéwa czarne domino, lub strefiasty strój arlekina, i śpieszy wraz z innymi, podobnie jak i inni, do reszty rozprzęgnąć swoje muszkuły, zardzewiałe jednym rokiem więcéj. Daléj, niech żyje radość!

Daléj! rzekł sobie jeden z członków konfraterni braci czarnych, (wspomnimy kilka słów objaśniających o téj konfraterni), biegnąc nająć ubiór polizynela; oddawna unosił się już nad oryginalnym jego krojem, dwoma wypukłemi garby, i pięknością aksamitu.

Marsylia liczy do dwunastu konfraterni niezwiązanych żadnym ślubem: są to pokutnicy rozmaitych kolorów. Kaptur ukrywa cnotliwych kupców, godnych tragarzy, pobożnych meklerów, którzy nie chcąc być poznani wśród rozsiéwanych dobrodziejstw, ukrywają twarz i postawę pod szatą pokutniczą; — długiém kolorowém płótnem przewiązanem w pasie sznurem, zakończonym dwoma kościami; śpiczasty kaptur, z dziurami na oczy, zasłania im głowę. Tak przebrani, pielęgnują chorych, wspomagają się nawzajem, odwiedzają więzniów, grzebią własnym kosztem ubogich, i towarzyszą przestępcom na rusztowanie. Jeśli ubiór ich postrach obudza, czyny zato są szlachetne i chwalebne. Najbardziéj straszliwym jest strój czarnych pokutników. W nocy, kobiéty uciekają ze zgrozą widząc ich zbliżających się, w czarnéj szacie, z trącającemi o siebie kościami, i latarnką nie-

sioną na długim czarnym kiju, któréj cztery rogowe ściany chronią konający płomyk.

Nasz poliszynel należał do towarzystwa czarnych pokutników. Bodzie go karnawał, dzwonki rozlegają się około jego uszu, przebiegający arlekin uderza po ramieniu drewnianym swoim pałaszem, trąca o śpiczastą czapkę pajacza, i otóż się zapala! — koniecznie chce tańczyć. A zabrońże tańczyć południowcowi!

Przełożony czarnych pokutników zganił to uchybienie powadze; starał się nakłonić uczciwego współtowarzysza aby nie zamieniał swéj kapy na potworny nos i bezwstydne usta poliszynela. Jakże usłuchać téj roztropnéj rady! Przeklęty kostium aksamitny ściga go bezustannie; już mu się zdaje że go włożył na siebie, i radośny, tańczy poliszynela, którego umié doskonale. Gdy przechodzi przed sklepem, gdzie wystawiony jest ubiór, podwaja kroku i zamyka oczy, aby uniknąć pokusy. Była to roztropność, bo śledzono każde jego stąpienie: ulegnie czy nie ulegnie?

Uległ. Tak piękna była pogoda w ostatni wtorek! Karnawał przebiegał ulice, wyjąc radośnie, prowadząc tłumy zachwycających kobiét południowych, których cała dusza spoczywa w oku, a oko zawsze zatrzymuje się na twojém. Czarodziejki lekką stopą przesuwały się pod jego oknami, wołając go, nęcąc aby zeszedł. Podskakiwał na łóżku, tańczył poziomo poliszynela; płakał, żałował, i tańczył ciągle. Wyskoczył nareszcie z łóżka; pobiegł do najmującego ubiory. — Ten aksamitny kostium? — Jeszcze nie najęty. — Wiele za niego? — Trzydzieści franków. — Oto są. Ubiéra się, już się ubrał, i wykrzykuje: Otóż i ja z wami! niech żyje radość!

Nikt jeszcze tak dobrze nie tańczył poliszynela. Czarny nasz pokutnik przetańczył go dziesięć, dwadzieścia razy; już nóg nie czuł. Tańcz! tańcz! jest oko co na ciebie patrzy! oko czarnego pokutnika! — współtowarzysza!

O trzeciéj po północy wrócił do siebie; była to ciemna noc marcowa. Rozebrał się, rzucił utrudzony na krzesło, i drzymał.

Ale cóżtoza łoskot? jakaż to światłość około jego okien miga? Wstał — zdawało mu się że jeszcze śpi, że to sen; przygląda się lepiéj. Nie jest to omamienie: sześciu czarnych pokutników! Trzy razy zmartwiałym liczy ich palcem: sześciu pokutników z czarnemi latarniami w sandałach, w czarnych kapach, przedziurawionych na oczy: sześciu pokutników niosących rozwiniętą chorągiew konfraterni; śpiéwają załobną pieśń łacińską i zatrzymują się przed jego drzwiami. Otwiérają; straszliwe widma o klucz się postarały. Już idą po schodach. Głosy ich coraz bardziéj stają się grobowe. Już światło przebija przez szpary jego drzwi. Stukają. Ale na szczęście pokutnik nasz nie łatwo się zatrważa. Był rozebrany. Cóż czyni? Pakuje do łóżka ubiór poliszynela, ukazując tylko nos papiérowy, śpiczasty podbródek i czapkę. Potém wdziéwa na siebie czarną kapę pokutników: było to dziełem jednéj sekundy. Otwiéra sześciu kolegom, i kryje się poza drzwiami. Gdy szószty przeszedł, wymyka się za nim, i wraz z niemi postępuje.

Pokutnicy otaczają łóżko; gniéwne spojrzenia rzucają na nieposłusznego rozkazom poliszynela. Pieśń za dusze zmarłych rozlega się w około niego.

— Bracie, wielu nas było gdyśmy się wybiérali?

— Sześciu, niezawodnie.

— I ja téż tak sobie mówiłem. Rachuj jednak. Jeden, dwa — trzy; tyleż z drugiéj strony łóżka; i jeden jeszcze więcéj, to się znaczy, — że nas jest siedmiu!

Znowu liczy, zawsze siedmiu! Zwierza swoje postrzeżenie drugiemu; ten podobnież liczy i drży!

— Siedmiu!! A jednak wiém z pewnością że gdyśmy wychodzili, było nas tylko sześciu. Sam przecie rozdawałem latarnie. Uwiadamia trzeciego, ten czwartego. — Postrach z ust do ust przelata, każden kaptur pochyla się nad sąsiednim kapturem, szepcąc liczbę siedmiu w ucho towarzysza, ogłuchłe prawie ze zgrozy.

Przestali myśléć o poliszynelu, który zdawał się być pogrążony we śnie sprawiedliwego.

Chcą uciekać: nie ma klucza. — A jest ich siedmiu! Kiedy mieszkaniec południa jest odważny, to już jak

lew odważny; kiedy tchórz, to dopiéro ciekawa rzecz widzieć; a kiedy postrach sześciu ogarnie południowców, to mi piękny widok!

Jeden się poświęca i wyskakuje oknem, z niezbyt wysokiego piętra; drugi, trzeci, wszyscy sześciu idą za jego przykładem. Jeden tylko pozostaje, i spokojnie zamyka okno.

Dwóch czarnych pokutników umarło ze skutków tego karnawałowego żarciku.

Kończył się karnawał, skończył się już nawet. Północ już wybiła na wieży Świętego Wiktora; wierni klęczeli w kościele ukorzeni modlitwą, żałując za wczorajsze szaleństwa, i czekając na popiół co im miał przypomnieć zkąd powstali i w co się obrócą. Posępna zielona gromnica grobową światłość rzucała na twarze wybladłe utrudzeniem i skruchą; oświeciła ona przed dawnemi laty scenę, któréj straszliwą naukę przechowało nam podanie. Czy z szaleństwa, czy świętokradztwa, jeden z przytomnych pozostał zamaskowany. Ktoś ze zgromadzenia, pobożną natchniony myślą, przełożył mu jak źle i niebezpiecznie postępuje. Lecz uporczywy nieznajomy oparł się wszelkim przestrogom. Kapłan zbliżywszy się aby mu pokutnym popiołem posypać czoło, cofnął się, zgrozą przejęty; rozkazał bezbożnemu zdjąć maskę: za całą odpowiedź otrzymał tylko przeczące skinienie. Wówczas kapłan, wpośród powszechnego przestrachu, posypał świętokradzką larwę, popiołem przeznaczonym pokutnemu czołu. Nie na tém poprzestaje podanie.

Wyszedłszy z kościoła pustak chciał zdjąć maskę, aby wolniéj odetchnąć; nieprzezwyciężona siła, przykleiła, spoiła ją niejako z jego twarzą. Wszystkie usiłowania były nadaremne; maska pozostała przeistoczyła się w ciało. A ów człowiek, skazany patrzéć, czuć, oddychać przez larwę jakowegoś potworu; skazany na wiekuiste przebranie i karnawał bez końca, którego męczarnię wlec musiał zawsze i wszędzie; smutny, cierpiący, stracił rozum nakoniec, i umarł własnemi rozszarpany pazury.

WYJĄTEK Z ŻYCIA CESARZA JÓZEFA.

(*Dokończenie.*)

Wieczorem grała Amelia najświetniejszą z roł swoich. Monarcha sam jeden siedział w królewskiéj loży. Amelia przewyższyła tego wieczora wszelkie oczekiwania i nadzieje. Unosiła się publiczność; liczne oklaski jéj sypano. Cesarz Józef dzielił zapał powszechny. Jeden z szambelanów przyszedł za kulisy, oznajmując Amelii aby natychmiast po sztuce udała się do cesarskiéj loży. Nie było w tém nic nadzwyczajnego, gdyż Cesarz zwykle w ten sposób odznaczającym się aktorom zadowolenie swoje okazywał. Amelia podziękowawszy publiczności za huczne wywołanie, udała się w towarzystwie szambelana do loży cesarskiéj. Na rozkaz monarchy oddalił się szambelan. Gdy Józef sam pozostał z Amelią spytał jéj dobrotliwie: — „Powiédz mi, Amelio, czy doprawdy sama jedna byłaś dzisiaj u leśniczego?" — Przelękniona aktorka starała się ile możności ukryć swe pomięszanie, i odpowiedziała z największą spokojnością na jaką się tylko zdobyć mogła: — „Zupełnie sama, najjaśniejszy panie. — „Nikt z Wiednia z tobą razem się nie znajdował? - spytał cesarz z tymże samym pełnym łaskawości wyrazem. — Nikt; i któżby taki? — wyjąkała Amelia. Teraz rysy Cesarza przyoblokły się w powagę, płomieniały jego oczy; z całą dumną spokojnością władcy, przenikliwe spojrzenie wlepiwszy w piękną grzesznicę, odezwał się znowu: — Czyś waćpanna sama jedna była w domku leśniczego? pytam o to jako cesarz! — Nic orlemu wzrokowi Józefa oprzéć się nie mogło. Olśniona jego błyskawicą padła Amelia na kolana, załamała ku Monarsze błagające dłonie, i wśród rzewnego wyrzekła łkania: — „najjaśniejszy panie.... łaski! nie byłam samą. Hrabia *** także się tam znajdował. Ko...cham ...go.... rozdzielają nas przeszkody... Wybacz!... wybacz... najjaśniejszy panie! — Podał jéj Cesarz rękę, dopomógł

powstać, i rzekł poważnie: Mościa panno, znasz aż nadto surowość mojéj matki, — bądźże na przyszłość nieco *przezorniejszą!* — I znów szlachetne jego oblicze rozjaśniło się najuprzejmiejszym uśmiéchem; podał do pocałowania rękę artystce, i przybiérając znowu wyraz najwytworniejszéj i uprzejméj dworności, rzekł: „Nieporównanie pięknie grałaś dzisiaj, Amelio *Cały dzisiejszy dochód do ciebie należy!*" — I jeszcze raz skłoniwszy się zawstydzonéj, majestatycznym krokiem udał się do swoich pokoi.

MONOLOG AKTORA WE WŁASNÉM JEGO POMIĘSZKANIU.

Przeznaczony jestem rozwiązywać zagadki wszystkich ludzkich charakterów, a sam wiekuistą jestem zagadką, gdyż codziennie muszą być czém innem, i sam nakoniec przestanę wiedzieć czém i kto jestem! Tysiące odegrałem rol, a z roli mojéj nigdy wyjść nie mogę. To muszę okazywać się dobrym, to złym, raz mądrym, drugi raz głupim, pięknym i brzydkim, jak gdybym takim był w istocie.

Byłem już tysiąc razy zamordowany, ograny, rozstrzelany, sztyletem przeszyty; ze wszystkiemi rodzajami śmierci żartem się oswoiłem. Musiałem się śmiać, kiedybym z rozpaczy krwawe łzy mógł wylewać; a w najweselszych dniach, powołanie moje przywoływało mnie ze sceny świata, na teatralną scenę, najdolegliwsze cierpienia przedstawiać.

Musiałem kochać to com nienawidził, nienawidzić to com kochał; tysiąc razy składałem przysięgę, i również tysiąc razy stawałem się krzywoprzysięzcą; wszystkie zbrodnicze czyny względem mnie popełnione, nawzajem względem innych popełniać musiałem; wszystko czynić i wszystkiém się udawać, prócz tego coby najmiléj było mi czynić, i czémbym chciał być w istocie.

Wczoraj umarłem z dwudziestu trzech ran Cezara, dzisiaj miłość zadała mi ranę, względnie do któréj wszystkie tamte bolesnemi nie były. Wychyliłem czarę trucizny przeznaczoną Mitrydatowi, — a żyję dotąd.

Pewnego wieczora, gdym był Learem, niewdzięczność własnéj krwi mojéj okropnie serce mi rozdarła, stałem się obłąkanym, zdziecinniałym starcem; miotały mną wiatry i nawałnice, a gdy wreszcie ręce miłości roztwiérały się na moje przyjęcie, śmiertelnym ciosem przeszyty zostałem. Obudziłem się znowu! — A teraz się stało mym udziałem, jako Szewa lub Paria ponosić całą pogardę i wszystkie przekleństwa, na jakie wystawiało mnie urodzenie moje; Paria, uwolnił się zjadliwym sokiem cykaty, a ja jeszcze muszę nędzne wlec życie, ścigany bardziéj gorzkiém od cykuty szyderstwem, nieczułości współczesnych.

Wybuchnęła wojna; rzeczywiste krwawe jéj widowisko odwiodło tłumy od malowanych naszych pobojowisk i ran udanych. Ale i nam srodze wojna dokuczyła; cierpieliśmy brak najpiérwszych potrzeb; umarłem wówczas pewnego wieczora na scenie głodną śmiercią Ugolina, a gdym wrócił do domu, dzieci domagały się z płaczem chleba, a ja dla nich chleba nie miałem! Było to okropniejsze jeszcze głodne życie.

Umarła mi ukochana małżonka. Suchém okiem dziko wpatrywałem się we zwłoki, w których niegdyś tak pałające, tak wierne serce biło. Wtém przywołał mnie posługacz teatralny; machinalnie poszedłem za nim; ujrzałem się w garderobie; mimowolnie ubrano mnie i urożowano; sam dotąd nie wiedziałem jaką grać mam rolę? Reżyser przypomniał mi jednym wyrazem: ach! wyraz ten ugodził mnie w piersi jak sztylet; obejrzałem sam siebie od stóp do głowy, i dopiérom wtedy postrzegł że jestem krawcem Kakadu; zacząłem skakać nucąc radośnie, ja, dla którego wszelka radość życia na zawsze obumarła. *Oto najsłodsze źrzódło rozkoszy! — Jestem sobie krawiec Kakadu!* a publiczność do rozpuku ze

mnie się śmiała; i jabym się mógł na śmierć zaśmiać! Bo co płakać, to nie mogłem w téj chwili.

BONAWENTURA
KUDLICZ.

Znakomity ten artysta dramatyczny, w roku 1801 wszedł do teatru zostającego wówczas pod zarządem Wojciecha Bogusławskiego.

Dziś, ulubieniec publiczności, jest ciągłą jéj rozkoszą, i słusznie, bo kogoż gra jego naturalna i szlachetna do łez nie wzrusza *w Teressie*, *Malwinie*, *Estelli*, *Trzydziestu latach życia szulera*, *Powrocie majtka*, *Pierścieniu?* Kogoż do śmiéchu nie zmusza, delikatna i wyższa komiczność, *w Księżnie i Paziu*, *Fryderyce Brown*, *Braciach niezgodnych*, *Córce Faraona*, *Lektyce na przedaż?* Słowem, ilebyśmy dzieł scenicznych wymienili w których ten artysta się odznacza, tyle zarazem tryumfów gry jego naliczyćbyśmy musieli, a spis ten byłby zbyt długim. Jakaż to rozmaitość charakterów, ileż delikatnych odcieni, mistrzowską grą jego oddanych!

Lecz nietylko jako utalentowany artysta położył on zasługi swoje dla sceny krajowéj: winna ona mu wdzięczność za ukształcenie tylu znakomitych dzisiaj artystów płci obojéj. On wiódł piérwsze kroki w tym trudnym zawodzie: *Daszkiewiczównéj*, *Werowskiéj*, *Kosteckiéj*, *Jasińskiego*, *Panczykowskiego*, *Majeskiego*, *Baranieckiego*, *Karasińskiego*. Jeszcze niezmordowany tyloletnią pracą, ciągle gra i poświęca się ukształceniu młodzieży do zawodu który sam milując nadwszystko, najczynniéj do wzniesienia i uszlachetnienia jego się przyczynia.

Jeśli Francya szczyci się Michotem, Potiem, Lepeintrem starszym, Niemcy Ifflandem, Devrienem, Brock-

manem: my śmiało szczycić się możemy tym utalentowanym artystą, który niemylnie dzisiaj jest jedną z najcelniejszych ozdób sceny naszéj.

TEATRY WARSZAWSKIE.

(z Panoramy Literatury krajowéj i zagranicznéj Nr. 5.)

Widok tak cudownie urządzonego świata, w którym nietylko ludzie przypatrują się swoim postaciom, poruszeniom, położeniu wzajemnemu, lecz razem do własnęgo przezierają serca, widzą swe myśli, swe uczucia, swoje czyny, i z téj walki namiętności i stosunków szczególnych, z téj rozmaitości charakterów, z dziwnego zbiegu wydarzeń zdrowe i użyteczne dla siebie przechowują rady, poją się razem roskoszą; widok taki dla wszystkich oświeconych narodów, w każdym czasie był zawsze ważnym przedmiotem. Lecz od chwili, kiedy z czynów przekonano się, iż myśl jest najwyższą siłą człowieka i że na jéj dobry kierunek wszystkie usiłowania łożyć należy, widowiska sceniczne, jako sposób silny wpłynienia na umysł ludzki, tym bardziéj zwróciły uwagę publiczną, a władze w państwie i talenta znakomite łączyły się zawsze na wzniesienie tego rodzaju widowisk i na kształcenie za ich pomocą moralnéj części człowieka. W takim stanie, kiedy wszystko, co tylko dotyczy teatru, dla człowieka oświeconego obojętną nie może być rzeczą, przyjemną dla czytelników naszych będzie wiadomość o postępach naszego teatru.

Łucya czyli Pamiątka, komedyo-opera, w 2 aktach, z francuzkiego *Melesville*, przełożona na polskie przez *Jana Jasińskiego*, piérwszy raz przedstawiona w Warszawie, na Teatrze Rozmaitości, dnia 14 lutego 1838 r.

Od czasu zjawienia się romansów Walter-Skota, przeniesieni w góry i na wyspy szkockie wśród rozległych przestrzeni morskich, poznaliśmy tych cnotliwych, mężnych i wytrwałych Szkotów w całym blasku poezyi, a każdy

obraz z tamtych okolic zdjęty ma dla nas szczególniejszy urok. Łucya jest dzieckiem z tych stron poetycznych. Biédna siérota, córka poległego w walce przeciw Anglikom Szkota, zostaje pod opieką młodego górala, Ewana (pan *Jasiński*) On, dla którego strzelba jest całym majątkiem i sposobem utrzymania życia, z największą troskliwością zajął się losem siéroty. Sam ujmuje sobie pożywienia, na głód się naraża, chce wszystkie cierpienia przyjąć, aby tylko dobry byt zapewnić swéj wychowance. Przy takich staraniach, Łucya już rozpoczyna wiosnę życia pod okiem Ewana, piękna, naiwna i jakby nadpowietrzna istota, we wszystkich rysach prostoty i niewinności. Myśl jéj goni za kwiatami po górach, serce przy Ewanie. Kocha go jak opiekuna, brata, jak ojca, kocha więcéj jeszcze, lecz sama o téj miłości nie wié. I Ewan, prócz Łucyi, nikogo nie ma na ziemi, w niéj całe jego szczęście, kocha ją tak, że dla jéj szczęścia poświęcić gotów swe życie, wyrzec się nawet Łucyi. Niestety! od kilku dni Ewan z niczém z polowania wraca; brak żywności coraz bardziéj czuć się daje; głód niedługo zacznie męczyć Ewana i Łucyą. Zgryzoty biédnego górala pomnaża i to wspomnienie, iż Łucya, jak gdyby obłąkana, z dziką piosenką biega po górach i tam w parowie płacze nad grobem ojca. W takiém nieszczęściu nie mając żadnéj już nadziei Ewan, za ugodzoną summę zaciąga się jako żołnierz do pułku angielskiego, w tym jedynie celu, aby zebranemi ztąd pieniędzmi ochronić od nędzy Łucyą. Dał słowo dowódcy, ma się więc stawić o północy i wyruszyć z pułkiem. Ostatni już wieczór przepędza z Łucyą, wyznaje jéj, że jest żołnierzem, że o północy na zawsze opuścić ją musi. Łucya w rozpaczy, naprózno błaga Ewana, aby pozostał; łzy jéj żadnego nie robią skutku. Strzelec dał słowo i złamać go nie może. Łucya udaje się do ostatniego sposobu i przy wieczerzy wléwa Ewanowi w napój krople na sen przygotowane, które dostała od dudziarza Dongala (pan *Baraniecki*.) Góral zasnął i wówczas dopiéro się przebudził, kiedy północ dawno już przeminęła. Lecz straszliwy los czeka Ewana. Kara śmierci przepisana jest na każdego z tych ochotników, którzy zaciągnąwszy się do wojska, nie stawili się na godzinę naznaczoną. Ewan zaledwie oczy otworzył, poznał okropność swego położenia, i usłyszał wyrok śmierci, który mu przed chatką ogłoszono. Lecz cięższa boleść przenika serce Łucyi, kiedy się przekonywa, iż ona jest przyczyną śmierci kochanka; stan jednak rozpaczy trwa niezbyt długo. *Claverhous* pułkownik (pan *Giżewski*) wyratowany dawniéj z przepaści przez Łucyą, goniąc późniéj

za piękną dziewczyną, przybywa do jéj chatki w zaloty, i spostrzega krzyżyk na piersiach Łucyi. Tę pamiątkę dał jéj ojciec przed zgonem, i ta pamiątka jest znakiem dla pułkownika, iż jéj ma oddać majątek ojcowski, który dotąd był w jego posiadaniu. W jednéj chwili uwalnia Łucyą od nędzy, Ewana od kary i od wojska, i łączy szczęśliwą parę.

W sztuce téj najwięcéj zajmuje Łucya charakterem poetycznie skréślonym. Panna *Daszkiewicz*, odznaczająca się w podobnych rolach, gra z wdziękiem i szczególną starannością, a chociaż przy oddawaniu rozmaitych w tym samym rodzaju charakterów, trudno jéj zachować cieniowanie delikatne, któreby wykazywało różnicę pomiędzy przedstawianemi przez nią osobami; i ztąd monotonia gry główną jest wadą téj niepospolitéj artystki; pomimo to jednak żadna z rol panny *Daszkiewicz* nie jest pozbawiona ułudy dramatycznéj. Przedewszystkiém podoba się widzom ten piękny przymiot, iż nigdy artystka nie odwróci od siebie baczności, a w każdéj chwili poznać można z jéj osoby, z jakiém przywiązaniem oddaje się swéj roli.

Hortensya czyli Kobieta już niekochana, komedya w jednym akcie, z francuzkiego pana *Fournier*, przedstawiona piérwszy raz w Warszawie, na Teatrze Rozmaitości d. 22 Stycznia 1838 roku.

Jedna z tych sztuk dramatycznych, których wątek słabą tylko nitką powiązany, jednak podobać się może, bo walka namiętności, chociaż mniéj naturalnie, zawsze wyraźnie się objawia, a gra artystów podnosi pracę autora.

Hortensya wdowa po wielkim poecie, do którego przywiązała ją chwała i namiętność, nie znalazłszy szczęścia w piérwszych związkach małżeńskich, rozstaje się z poezyą, nie chce głośnych uwielbień, pragnie pozyskać serce, coby nią tylko zajęte było i dla tego z niecierpliwością oczekuje na przybycie kuzyna Edmunda, któremu ma zamiar oddać swą rękę. Edmund kochał Hortensyą oddawna, lecz kiedy ta okazała się obojętną na gwałtowną miłość jego, i połączyła się z piérwszym swym mężem, stłumił uczucie serca, a pewny że żądza sławy nie dozwoli Hortensyi wybrać małżonka, któryby mniéj posiadał zdolności od piérwszego jéj męża, przybywa do niéj z tą jedynie proźbą, aby mu jako przyjaciółka postarała się o żonę. Hortensya, na tak niespodziéwany wypadek nie przygotowana, czuje zgryzotę, któraby łatwo ukończyć mogła wyjawieniem swéj myśli. Nie robi tego jednak, raz; że byłoby to nieprzyzwoicie, aby piękna wdówka kuzynowi sama się oświadczać miała; powtóre, przez ukończenie

nieporozumienia brakłoby komedyi wątku; z tych powodów rozpoczyna intrygę, a szukając żony kochankowi, wikła go w przyrzeczenia małżeńskie z Julią (panna *Dobrzańska)* swą przyjaciółką, a sama wykazuje zręcznie, że ma chęć w powtórne wejść śluby z Adolfem (pan *Żółkowski*) przyjacielem Edmunda. Tym sposobem obudza dawną namiętność w kuzynku, który wraz z Adolfem znowu nieporozumieniem uwiedziony, dość długo w niepewności zostaje, czy się ma z Hortensyą połączyć, czy też naiwną Julią zaślubić. Lecz piękna wdówka sama rozpoczęła i sama ukończyła intrygę. Oddaje Adolfowi Julią, a ręką swoją uszczęśliwia kochanka.

Gra pani *Halpert*, w roli Hortensyi, utrzymywała sztukę, chociaż wyznać także należy, iż salonowa przyzwoitość, odznaczająca tę komedyą, z mnóstwa sztuk jakie repertorium Teatru Rozmaitości posiada, także jéj wartość stanowi. Pan *Komorowski*, przedstawiając Edmunda, przy swéj najczystszéj deklamacyi, na kuzyna bardzo dobry, na kochanka zimny. Lepiéjby zawsze było, gdyby choć raz powierzył się własnemu uczuciu bardziéj, aniżeli obrachowanym poruszeniom, które mimo całéj gracyi nigdy na długo zająć nie mogą. Rola Julii, jakkolwiek podrzędna, więcéj dla panny *Daszkiewicz*, jak dla panny *Dobrzańskiéj* przypada.

Marya czyli Trzy epoki, drama w trzech aktach, pani *Ancelot*, przełożona na polskie przez *Szymona Kassyanowicza*, przedstawiona piérwszy raz w Warszawie, na Teatrze Wielkim, dnia 18 Lutego 1838 roku.

Nowy dramat przedstawia jeden tylko charakter. Zajmującym jest obraz cnotliwéj kobiéty, która idąc tylko za głosem pięknego uczucia, z życia swojego robi ofiarę dla szczęścia osób, z jakiemi ją los świętemi obowiązkami połączył, która zawsze i wszędzie moralną swoją siłą, w każdéj przeciwności i nieszczęściu odnosi zwycięztwo. Marya blizka połączenia się z Karolem, przedmiotem najdroższych swych uczuć, jako przywiązana córka, dla szczęścia ojca, wyrzeka się miłości i oddaje rękę staremu zimnemu spekulantowi. Marya pomimo gwałtownéj namiętności, którą ciągle dla kochanka czuje, jako wierna żona nie daje się obłąkać zbytniéj tkliwości, a w położeniu drażliwém zbiéra ostatek sił swoich i pokonywa namiętność w ofierze dla męża. W końcu ta sama Marya całe życie nieszczęśliwa, kiedy po śmierci męża ma z dawnym połą-

czyć się kochankiem, na widok córki swéj, która do Karola gwałtownie się przywiązała, wyrzeka się szczęścia, i jako czuła matka, czyni jeszcze raz z siebie ofiarę, zrzeka się kochanka i oddaje go córce swojéj.

Myśl główna dramatu tak silna, że nawet mniéj twórczy układ niemógłby jéj osłabić: dla tego w rozwinięciu stosowném zamierzone robi wrażenie. Kompozycya Maryi nie jest dziełem wykwintnego rachunku: jest to obraz dla oczu pospolitych przedstawiony, który prostotą ujmuje. W kompozycyi takiéj akcya nic na życiu nie traci; przy każdym szlachetnym czynie Maryi widzimy walkę jéj serca i pojmujemy jéj najskrytsze myśli. Te w ciągu wypadków w najdelikatniejszych odcieniach przesuwają się dla widza. Charakter Maryi najwydatniejszy, co wypływa z samego założenia dramy; przy niéj reszta osób jest jak draperya przy głównym przedmiocie, która utrzymuje wrażenie. Całość prowadzona starannie, a kilka sytuacyj w téj sztuce możnaby policzyć do wzorowych utworów dramatycznych. Naprzykład scenę z pistoletami, położenie Maryi, kiedy mąż jéj odkrywa Karolowi mimowolnie straszliwy stan nieszczęśliwéj małżonki, i pieszczoty matki z córką przy badaniu uczuć jéj serca. Największą wadą pani Ancelot jest ta nadzwyczajna gorliwość w zgromadzaniu tłumném wszelkich bez wyboru szczegółów, w tym jedynie celu, aby duszę Maryi w jak najpiękniejszém świetle przedstawiały. Ztąd niektóre dodatki wcale niepotrzebne, a osobliwie wyznanie służącéj Ludwiki, uciekającéj z domu Maryi przed słabością jéj męża, stanowi osobny bardzo komiczny wodewil.

Pani *Halpert* w roli Maryi, jest duszą całego dramatu, chociaż nie ma sposobności rozwinięcia wszystkich sił swojego talentu. Pan *Komorowski* niebardzo szczęśliwy w roli kochanków i w téj dramie występując jako Karol, nie okazał nam życia, którego mu z duszy życzymy. Niechcemy zapuszczać się w szczegółowy rozbiór gry jego z téj uwagi, iż skromne nasze przedstawienie nie zrobiłoby wrażenia na nim po apostrofie, jaką do niego Gazeta Poranna wymierzyła.

Z innych osób, podrzędne zajmujących role w dramacie Marya, zasługuje na wzmiankę panna *Możdżeńska*: w roli służącéj Ludwiki odegrała swoję wodewilkę jak mogła najlepiéj.
